

## PROLOG

– To tam. – Wskazał na betonowy właz do studzienki kanalizacyjnej w większości obrośnięty krzakami. Gdyby nie pokazał palcem, trudno byłoby dostrzec. – O północy otworzą przejście po drugiej stronie. Będzie czekała Marina albo mężczyzna z tatuażem w kształcie liścia klonu na szyi.

Rozejrzała się. Z mroku nocy wysuwał się zarys krzaków, chwastów i małych półmetrowych drzew. Kształty wznoszących się gdzieś stert gruzu dawały do zrozumienia, że kiedyś stały tu domy, zabudowania gospodarskie, a nawet przystanek autobusowy. Dawniej tętniące życiem prowincje zostały zniszczone i przerobione na nierówną warstwę kłujących i porzewiających przedmiotów, skołtunionych i wymieszanych z ziemią. Ta bariera – czasem przecięta zakurzonym i opuszczonym korytarzem – ciągnęła się od betonowego muru aż do krawędzi rachitycznego lasu. Czasem spośród drzew wystawał obdarty z życia dom i inne pozostałości minionego świata. To była granica. Granica, której nikt nie miał prawa przekroczyć bez zgody organów zarządzających miastem. Strefa buforowa ciągnęła się przez dwa kilometry. To tu, w mieszaninie krzaków i kamiennych odpadków, znajdował się właz, którym mieli przedostać się do miasta.

– Od lat nie oświetlają tej przestrzeni – mruknął, zakładając ręce na piersi. – Wszędzie obowiązuje zaciemnienie. Tu i w środku. Chcą uniknąć jarzenia się jak Las Vegas.

Skinęła w zamyśleniu głową. Zmrużyła powieki, błędząc wzrokiem po prawie dwukilometrowym betonowym murze zwieńczonym gęstymi zasiekami. Domyślała się, że musiały być pod napięciem. Spojrzała na żelazną, zespawaną bramę, jedyną, jaką widzieli z miejsca, w którym się zatrzymali.

– Wszystkie tak wyglądają? – zapytała, nie odwracając wzroku od muru.

– Tak. Nikt z nich nie korzysta. Nigdy nie opuszczają miasta.

Wzięła głęboki wdech ciepłego powietrza. Podniosła głowę i spojrzała na migoczące punkciki na niebie. Jedyna rzecz widoczna z każdego miejsca na Ziemi – obozu koncentracyjnego, niewolniczej farmy, objętego pełną kontrolą miasta, szumiącego wzgórze.

– Ile zostało czasu?

Zerknął na wysłużony zegarek na przegubie.

– Dwadzieścia minut do północy.

Wypuściła powoli powietrze.

Wojtek oparł się o drzewo i ukradkiem zerknął na Ulę. Zmarszczył brwi.

Stojąca przed nim dziewczyna nie przejawiała prawie żadnych emocji. Podenerwowanie, niepewność, sporadyczna naiwność, nierzadka wybuchowość, zwątpienie – zniknęły, a ich miejsce zajęło skupienie i zamyślenie. Od kiedy wybiegli z Doliny do

Warszawy, kilka razy pogrążyli się w dłuższej rozmowie podczas postojów, lecz zawsze czuł, że Ula myślami była gdzieś indziej niż on. Dalej niż on. Koncentrowała się na biegu, nie hamując instynktów. Po raz pierwszy miał okazję być świadkiem jej tak zwinnego, subtelnego i swobodnego biegu. Dopiero teraz rozumiał, jak wiele energii wkładała przez te wszystkie lata, by dostosować się do tempa ludzi i mutantów takich jak on. Cokolwiek robiła. By ukryć swoje prawdziwego możliwości, prawdziwą siebie. Teraz, stojąc na krawędzi lasu, w ciemnej i prostej kurtce, z krótkimi włosami poprzetykanymi wyraźną siwizną i okiem pokrytym bielmem, nie hamowała instynktów. Nie wzięła ze sobą żadnego bagażu: plecaka ani torby. Nie chciała broni, nawet noża. Usilnie próbował przypomnieć sobie ostatni raz, gdy widział na ustach Uli uśmiech... Nie potrafił. Teraz dostrzegał tylko determinację.

– Ula?

Odwróciła głowę i spojrzała na niego ze skupieniem. Przeszył go dreszcz.

– Boisz się? – Wpatrywał się w nią uważnie.

Znów przeniosła wzrok na mur.

– Każdy się czegoś boi. Tylko w pewnym momencie to przestaje mieć znaczenie – odparła.

Prawa dłoń zadrżała jej lekko, zanim Ula zdążyła ją zacisnąć i schować do kieszeni kurtki.

– Wojtek...

– Tak? – Odsunął się od drzewa i stanął obok niej, ramię w ramię.

Dochodziła północ.

– Dopilnuj, żeby w Dolinie... – Zawahała się. – Zaopiekujesz się nimi?

Westchnął. Wbił wzrok w dwukilometrowe gruzowisko.

– Oczywiście – mruknął i dodał dla pewności – przecież wiesz.

Przełknęła głośno, dopiero w tym geście ujawniając zdenerwowanie. Zrobiła krok do przodu i wystawiła stopę za krawędź lasu. Zerknęła przez ramię.

– Do zobaczenia. Tu lub tam.

– Tu lub tam... – odparł już szeptem. Nie ruszył się, lecz odprowadził dziewczynę wzrokiem aż do wjazdu.

Patrzył, jak w metodycznym, cierpliwym i bezgłośnym marszu pokonywała zbitki kamieni, nitki zasięków i pokręconego żelastwa. Jak siadła na betonowym murku, spuściła nogi po zardzewiałej drabince i zniknęła we wnętrzu studzienki. Nie obejrzała się za siebie ani razu. Nasłuchiwał, doszukując się w ciszy odgłosów niebezpieczeństwa. Krzyków, charkotu, wystrzałów, nerwowych kroków w wilgotnych kanałach. Daremnie. Gdy wskazówka zegara

wybiła pierwszą w nocy, rozmył się w mroku pomiędzy drzewami. Gdyby ktoś obserwował go przez lornetkę z wysokiego muru, dostrzegłby tylko białe gałki oczu.

Wojtek odwrócił się bezszelestnie i ruszył truchtem. Z powrotem do Doliny.